POWIEŚĆ i NOWELA

Rok XIX Warszawa, dnia 15 Października 1927 roku Nr. 42

ANDRZEJ STRUG

5) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Rozpostarły się niemce nad ruskim krajem, okopały się za jeziorem, pobudowały twierdze ogromne, koleje i całe miasta baraków. Gdzie od wieków przechodu nie było przez bagna i topiele, tam namościli drogi i mosty milami się ciągnące. Na zdradnych oparzeliskach, na pustaciach, gdzie jeszcze noga ludzka nie stąpiła, gdzie zwierz dziki nie zachodził, jeno po nocach budziły się dusze pokutujące i straszyły zdaleka, polatując jako płomyczki ponad bagnem — tam pomurowano stanowiszcza dla armat - olbrzymów, co huczały gromem, aż trzęsła się ziemia i niosły śmierć daleko, daleko. Tysiące, tysiące ludzi pracowało dniem i nocą, aż wszystko przeinaczyli. Umocowali się, wrośli w ziemię jak korzeniami i wiadomo było, że żadna siła ich stąd nie ruszy, że już na zawsze zostaną.

Przywieźli majora z oberwanemi nogami i pod wieczór tego dnia skonał, przewracając oczami, do końca jej ręki ze swojej nie popuścił. Ułożono go na ławie w nowym mundurze z orderami, z krzyżykiem wetkniętym w sine palce i dwie świece się nad nim paliły. A ją tej nocy wziął na swoje wyrko pan oberlejtenant, który u nich w izbie kwaterował i dawno jej chciał, jeno się przed majorem warował. Okropnie się bała trupa, który na to patrzał, a oberlejtenant się tylko śmiał.

Pochorowali się jedno za drugiem, ociec, matka, siostry dwie i brat, wygnani razem z całą wsią na dalekie tyły, na głód i nędzę. Jednej zimy pomarli co do jednego na tyfusową zarazę, ostała się sama na bożym świecie, ale żadna krzywda jej się nie stała, wszystkiego miała wbród, najlepsze konserwy, masło, czekoladę, a jak do wsi zajechał na dzień na dwa pan oberst albo excelencja pan generał, to oberlejtenant wynosił się na noc z chałupy, a ją dla nich pozostawiał.

Aż trafiło i oberlejtenanta, tedy wziął ją kapitan, za tym razem człek poczciwy, stary doktór pułkowy. A po nim podzielili się nią zgodnie trzej feldfeble, którzy zajęli chałupę, każdy miał swój tydzień. I tak szło....

Nudno, ciężko wlókł się każdy dzień, ale ani się obejrzała, ani wiedziała, jak i kiedy zeszły jej przy niemcach całe trzy lata. Przez ostatnie pół roku milczały armaty i coraz to ubywało niemców, coraz ich było mniej. Po tamtej stronie frontu szły bunty, cały ruski kraj straszliwym ogniem płonął, aż w nim zginął i ruski Bóg, i car prawosławny. Tam się oto iścił i już dobiegał kresu koniec staremu światu — za zbrodnie wojny. Tam szatan miotał ruskich ludzi przeciwko ruskim. Tam wysoko w górę poszedł żyd i zapanował nad wszystkiem — sługa djabelski. Jak długa i szeroka, oszalała niezmierzona matka Rosja i pożerała własne dzieci...

Przychodziły wieści potworne i niepodobne były do żadnej prawdy, bo ruska prawda była gorsza od najstraszliwszego ludzkiego wymysłu. A niemców z dnia na dzień wciąż ubywało ze wsi, przechodziły bataljony za bataljonami, odjeżdżały armaty i wozy — aż o pierwszych mrozach pewnego ranka zabrali się z chaty i trzej feldfeble. Zostawili jej trochę marek, trochę rubli i dużo cukru, skrzynkę konserw, dwa koce, parę żołnierskich trzewików. Pożegnali się uczciwie i pojechali do swoich żon, bo skończyła się wojna wraz na całym świecie.

Zaczęli napływać potrochu dawni ludzie, bo nie było ich komu pilnować na tyłach. Wracali na dziesięciu jeden, sterani, zamorzeni, zdziczali i spodleli z głodu i poniewierki.... Przyszedł do wolnej wsi pustej po niemcach i dziadek, matczyn ociec, który przeżył wszystkich i wszystko, zjawił się, jak widmo z grobu. Ani mu się ucieszyła, ani nic — już o tej porze wszystko jej było jedno.

— Teraz dopiero będzie dobrze, bolszewicy ziemię dają — gadał dziadek, który poddaństwo pamiętał. — Wszędzie oficerów, urzędników, panów rżną, którzy naród od wieków gnębili. Prawda górę wzięła na świętej Rusi...

Nie stało niemców gnębicieli, nie było już wojny, a przyszła zima, a z nią taki głód... Jęły wymierać i te ostatnie resztki, co we wszystkich nędzach ocalały i do wsi rodzinnej ściągnęły. Jeden drugiemu wydzierał ostatni kęs, uciekali ludzie od śmierci i szli w świat szukać chleba, a na ich miejsce przychodzili skądś obcy, kupami spadali na wieś, jak głodne wilki. Nożami krajali dzieci na oczach matek, ogniem wymuszali, żeby wykryć, kto gdzie miał coś utajonego, ostatni ochłap końskiej padliny, garść mąki z mielonej kory brzozowej. Ale i tu nie zaznała krzywdy — zawsze się znalazł zbój od reszty mocniejszy, który ją innym odebrał i dla siebie uchronił i jakoś przeżywił. Ostatniego zaś, który wieś trzymał pod strachem, nazywano Kasjan Pietrowicz, bo tak się kazał mianować, a kim zaś był i skąd — nikt nie wiedział. Ten pierwszy zaczął ją bijać ze wszystkich tylu, których za te lata zaznała....

Nareszcie przyszło zmiłowanie boże i ład się jakowyś zapowiadał. Zawitała do nieszczęsnych Taraszkiewicz nowa objawiona prawda świętej Rusi. Przyszli towarzysze krasnoarmiejcy, przyszli obdarci i do żołnierzy niepodobni, ale ich słowa były jako miód a serca pełne ludzkości. Na początek odbył się

mityng i cała wieś od małego do starego stała na mrozie i słuchała, co prawił bolszewicki urzędnik głosem wspaniałym i ogromnym, jak i te sprawy, które obwieszczał. A potem zerwano z nade drzwi chałupy tablicę niemiecką z wypalonym napisem i na odwrotnej stronie wymalowano czarną farbą „Taraszkiewickij Kombied i Rewkom" i uroczyście przybito na dawnem miejscu, a wszyscy się temu radowali, krzycząc „Ura!"

Potem krótkim sądem rozstrzelano na miejscu Kasjana Pietrowicza i jeszcze czterech jakichś przybłędów, a w chacie osiadł wyznaczony komisarz „Gubispołkomu", opiekun, instruktor, agitator i pan wszechwładny całej gminy, zgarbiony, mały człowieczek, w skórzanej kurcie i w skórzanych spodniach, z dwoma „Naganami" u pasa, z ładownicą przez ramię. Z trudem go poznano pod ogromną baranią papachą — był to Uszer Pokojnik, pomocnik felczerski z miasteczka Dołożyna. Zagwarantował każdemu ziemię i obiecał ją dzielić na wiosnę, nakazał spokój i posłuszeństwo władzom proletarjatu i zapowiedział, że u niego jeden sąd i pedna kara—kula w łeb. Odczepił i pokazał oba Nagany, żeby nawet najciemniejsi zrozumieli, o co idzie, a pierwszem jego zarządzeniem było zlikwidowanie i oddanie na dom ludowy cerkwi, która była spalona przez artylerję przed trzema laty. Drugim dekretem pojął Xeńkę w sowiecko - tymczasowo - faktyczny związek małżeński i zagospodarował się w chacie, a był na tyle względny, że nie wygnał dziadka, owszem, mianował go towarzyszem i prezesem miejscowego Kombied'u i codzień wieczorem kazał mu sobie ściągać buty.

Po nowym roku zawadziła o wieś wataha białych partyzantów, a spadła tak nagle, że nie minęło pół godziny, a towarzysz Uszer Pokojnik już wisiał na gałęzi przed chatą. A w chacie biały oficer...

O życie obłąkane, przeklęte... O dolo nieszczęsna, podła....

* * *

Szybko przeszła, przeżegnawszy się trzykrotnie koło biednych ruskich mogiłek, które już się rozpływały w bagnistej łące. Tylko dwa prawosławne krzyżyki tkwiły jeszcze między niemi koślawo. Ani ogrodzenia, ani śladu pamięci ludzkiej... Kto ma o nich pamiętać, kiedy każdy przeklina te czasy, lata wojny i klęsk bez miary? Kto się nad niemi użali, gdy w ludziach zakamieniały serca i ogłuchło sumienie?

Za każdym razem, gdy tędy przechodziła, porywał ją nagły płacz niepowstrzymanie mocny, krótki, bolący...

Tu od samego jeziora zaczynał się gąszcz dzikiej wikliny....

Oddawna już nie płakała nad swoją dolą — zapomniała. Nie płakała nigdy z żalu nad sobą, ani z bólu, ani ze strachu, ani z obrzydzenia. Właściwie wszystko jej było porównu, co się z nią dzieje i co z nią jeszcze stanie, bo wiedziała, że zginęła i przepadła raz na zawsze. Ale nigdy, nigdy nie zamarło to jedno jedyne w pamięci serca.

Smagały ją po twarzy, po nogach i czepiały się odzieży nagie, prężne rózgi wikliny. Szła czarną, błotnistą ścieżyną, skrzepłą teraz na grudę. Zmurszała wierzba, opasana drutem kolczastym... Tyki od telefonu polowego... . Zakręt starego okopu przerzyna ścieżkę wpoprzek i gubi się w gąszczu. Potężne, grube kłody poprastarym, zwalonym w niepamiętne lata białodrzewiu, który królował ongiś nad okolicą, widać go było dookoła na czterdzieści wiorst, a jak powiadali starzy — aż z samego Dołżyna... Leży martwe drzewo i zostanie wiernie, póki się całe nie rozsypie w próchno i nie wsiąknie w matkę - ziemię... Ostatni, najboleśniejszy napór płaczu.... Złożyła na kłodzie łubianą kobiałkę i osłoniła oczy. Ileż razy tu była w ciągu lat!

Tu się pożegnali i poszedł Pyłyp w sołdaty, w powinną służbę cara i ojczyzny. Nie wydali jej ojciec — matka, bo trza mu było swoje cztery lata odsługiwać, a ona była na żonę za głupia, miała dopiero szesnasty rok. Gorzko płakali oboje, całowali się w płaczu i po sto razy poprzysięgali sobie wierność w kochaniu — tu, na tej kłodzie, do połowy zagrzebanej w ziemi....

Przyszła wojna i nie zobaczyła go więcej. Przepadł, zginął, ani wieści o nim nie miała. Ale żyła nadzieją, która nie zamierała nigdy, a gdy dosięgła wojna tych stron i splugawiła czysty kwiat jej krasy i miłości, truchlała przed tym dniem, gdy powróci Pyłyp. Jakże się ona jemu na oczy pokaże, sponiewierana bezecnie, wyszargana w tylu rękach.

— Czemużeś ty nie skoczyła do wody, czemuś sobie powroza na szyję nie założyła?

Nie wiedziała, jak mu odpowie, bo i cóż na to można powiedzieć? Ale może on dobry, mądry, on przebaczy, wyciągnie ją ze strasznej topieli i stanie się wielki cud, że zaczną nowe życie, a tamto wszystko, co tylko było, zapadnie się w czarnej niepamięci?..

Pragnęła go całą duszą, każdą chwilą, pełno go było w dziwnych snach wróżebnych. Gdy budziła się rano, o nim była jej pierwsza myśl — a może dziś? Załomoce serce nadzieją i ściśnie za serce strach — wolejbyś ty nigdy nie powrócił.... Zdarzało się, że zapadała w obłędną radość, bo coś jej mówiło, to jej coś w duszy zaśpiewało... I przychodziły dnie i tygodnie tępej ponurej pewności, że już nigdy i przenigdy...

A zazwyczaj w szarym dniu ani się łudząc, ani się poddając rozpaczy, wiedziała po chłopsku, że będzie, jak Bóg da — albo powróci, albo nie. Ale Bóg inaczej rozsądził....

* * *

— Bolek, czy ty jesteś mężczyzną?

Chłopak nic nie odpowiedział. Zawzięcie patrzał przed siebie w dal, jakgdyby prowadził patrol i uważał, czy pod temi trzema sosnami na wzgóreczku nie siedzi przypadkiem karabin maszynowy.

— Bolek, czy ty jesteś żołnierzem? Czy ty jesteś oficerem ułanów, do wszystkich djabłów?!

Bolek poznał po niewczasie, że postąpił, jak ostatni idjota, wywnętrzając się przed takiem chamidłem. Ale cóż, nie mógł się opanować... I przed kimże z całego tego pułku miał sobie ulżyć? Ten mu niby najbliższy, a zresztą, między Bogiem a prawdą, jeszcze on lepszy od nich wszystkich. Ot, ochotnik Łoginowski zrozumiałby go, a w każdym razie uszanowałby jego zwierzenia i nie poradziłby mu żadnego świństwa... Sędzia, człowiek starszy i co za człowiek — ileż się od niego nauczył przez tę parę miesięcy, odkąd jest u niego w plutonie... Ale sędzia Łoginowski był szeregowcem i jego bezpośrednim podkomendnym, a to niezmiernie gmatwało sprawę. Podporucznik Krysiński dopiero przed dwoma miesiącami osiągnął pierwszą szarżę oficerską i nie zdołał się jeszcze oswoić ze swojem wyniesieniem.

(D. c. n.).

JULJUSZ GERMAN
1)

JACEK

I

Gdy pan Władysław Karzymowski z Karzymowic Wielkich na Wołyniu w jesiennej nocy 1918 roku, huczącej burzą i trzaskami bolszewickich karabinów, uciekał ze swego rodzinnego dworu, samotrzeć, z piętnastoletnim synem Jackiem i stangretem Alojzym, wyrosła w jego myślach nad tępą zgrozą, nad rozpaczą i oszołomieniem klęski nie do powetowania pewność przeraźliwie jasna: „Temi oto żywemi oczami nie zobaczę już nigdy mojego domu, lip przy wjazdowej bramie, szuwarów nad wielkim stawem w ogrodzie i pól w przestrzennej ciszy rozrzuconych aż pod skraj horyzontu...."

„Ani tej klamki od drzwi mego pokoju, na którą zawsze w pogodnym dniu padał pierwszy promień słońca.... ani tej klamki" — powtarzał, zaciskając zęby i patrzył, jak Alojzy smagał do krwi ukochaną parę karych cugowych, przynaglając je do obłąkanego wprost pędu. — „Nie zobaczę".

Jakoż i nie zobaczył.

Kare padły pod wieczór następnego dnia. Lecz w nocy dotarł pan Władysław do miasteczka, w którem młody oficer w austrjackiej jeszcze czapce ale już z białym na niej orzełkiem dowodził kilkudziesięciu różnie umundurowanymi zuchami, oddziałem wojsk zmartwychwstałej Rzeczypospolitej.

Dalsze peregrynacje karzymowickiego dziedzica z owego miasteczka do Warszawy (a dokądże, na Boga, mógł się gdzieindziej skierować?) odbyły się już bez nadzwyczajnych przygód i bez trudu.

W stolicy, pełnej w tych czasach wielkiego entuzjazmu ale jeszcze większego zamętu, zaczął rozpatrywać się w sytuacji ogólnej i swojej, ochłonąwszy z pierwszych druzgocących wrażeń osobistego nieszczęścia. To rozpatrywanie trwało dobrych parę miesięcy. W rezultacie doszedł pan Karzymowski do przekonania, że entuzjazmu coraz mniej, zamętu zaś coraz więcej. Nie był odosobniony w poglądzie, że „w nowej Polsce zanosi się na grubą awanturę", w której spłonąć mogą dobra stokroć znaczniejsze, niż kresowe dwory. Tej awantury nie lękał się dla siebie (trzeba to przyznać dla usprawiedliwienia dalszych jego czynów), jako że ciężkie ciosy losu nie stłumiły w nim zadzierzystości szlacheckiej i rozmachu, z którym kiedyś przodkowie dobywali z pochew karabele. Owszem, rwały się porywy w nim najszczersze do wszystkiego, co kwiatem bujnej przygody wystrzela nad zielska codzienności. Nie bałby się rewolucyjnych barykad, spróbowałby chętnie i wojaczki.

Lecz troską najżarliwszą był mu jego syn.

Po żonie, zmarłej od sześciu lat, pozostał mu jedyny. I jeśli pan Karzymowski czynił sobie czasem w cichości serca gorzkie wyrzuty, że żonę, ową Anię, delikatną i powiewnie rozmarzoną, jak kwiat narcyzu, kochał za mało (prawdę powiedziawszy, rozpoczął ją zdradzać niespełna w rok po ślubie)), to miarę najgorętszej miłości ojcowskiej przekraczało uczucie, jakiem otaczał swego syna. Zdawało mu się, że w tem dziecku otrzymał cudowny dar boży, którego ma być najczulszym i najostrożniejszym strażnikiem. Uwielbił w nim wielką nieodgadniętą tajemnicę istnienia, co, z jego krwi i kości pochodząc, miało swej odrębności tajność przedziwną. Ukochał go tą całą, głęboko ukrytą a pożarną tęsknotą za nieznanem, która mniej lub więcej mgławicowo w każdym żyjącym odzywać się musi, tęsknotą za niezbadanym czarem piękności, za jej niewidzialnem i nieskończonem źródłem.

Z dumą i z lękiem patrzył na niezwykłą chłopca urodę. — „Skąd w nim taka?" — zapytywał nieraz sam siebie, w olśnionem zdumieniu. Bez zbytniej zarozumiałości przyznawał sobie niepoślednią przystojność, (— „Młody rotmistrz pancernej chorągwi"— mówiła o nim rozkochana narzeczona.), zaś wiotka Ania ze swemi tęsknemi chabrowemi oczami i jasnością rasowej blondynki wyróżniała się wdziękiem ze wszystkich ładnych panien w wołyńskich i ukraińskich dworach, lecz śliczność Jacka przewyższała poprostu o całe nieba i wdzięk matki i ojca przystojność. Rozwijała się z roku na rok coraz cudniej (— „Aż oczy bolą patrzeć na taką detynę jak ze świętego obrazka" — szeptały w zachwycie różne hoże służebne Ksenie i Nastusie.), przezwyciężyła z niedbałym uśmiechem wiek dla chłopców najniewdzięczniejszy i kwitła teraz w pąku męskości najczystszym powabem piastowskiego efeba. Tak, jedynie w ramę tych dwóch pojęć mógł pan Władysław (często się nad tem zastanawiając) ująć dziw synowskiego czaru. Czar pacholęcy, rozkwiecony nieskalanem bujnem tchnieniem od zbóż w słonecznym upale, słodki świeżością świtu ponad sadem, w którym pachną miód i jabłonie, dostojny stróżowaniem nad ziemią, karmicielką wszechwładną, pobratymiec z ciszą i blaskiem księżycowych nocy. I zarazem urok, oplątający wysmukłą gibkość doskonałych kształtów uśmiechem kolumn marmurowych nad błękitnem morzem, strojny beztroską i niezwyciężoną odwagą, pełny tryumfalnej wzgardy dla wszystkiego, co niewolne.

Ten wiew z dalekich południowych krajów, który lekkim, złocisto - matowym obrzaskiem malował śliczną twarz Jacka i lśnił granatowemi połyskami w jego kruczych włosach, przywodził nieraz na myśl ojcu jednego z protoplastów rodu, pana Piotra Karzymowskiego, z epoki napoleońskiej pułkownika wojsk westfalskich i kawalera maltańskiego, poszukiwacza awantur i hulajduszę co się zowie. Od dziwactw tego magnata trząsł się swego czasu cały Wołyń, a tradycja rodzinna zachowała o nim pamięć, że „miał iście książęcą fantazję, ale warjat był skończony. Tenże to szaleńczy pułkownik i kawaler wykradł córkę jedynaczkę słynnemu bankierowi Protowi Potockiemu, ożenił się z nią, poczem rączo ją porzucił i zawarł nowe śluby z jakiemś z Włoch przywiezionem ognistem djablęciem, ku zgrozie i przerażeniu całej rodziny. (Wisiał w jadalni karzymowickiego dworu wśród galerji antenatów także i portret onej cudzoziemskiej prababki, z lokami rozpuszczonemi na biust głęboko odkryty, uśmiechniętej — jak Ania mówiła — bezczelnie i drwiąco). Więc chyba po tej Włoszce wziął Jacek cerę mleczno - złotą i włosy czarne. A po kim owal twarzy czarownie podłużnej, po kim zachwycający wykrój małych ust, piękniejszych, niż usta dziewczęce, nos delikatny, prawie kobiecy, nieskazitelną grecką linią łączący się z czołem półboga, po kim oczy wspaniałe o zmiennej barwie morza, raz szafirowe, to znów seledynem przejrzyste?

— „Na to składały się pokolenia" — dumał pan Karzymowski — „szereg szlachetnej krwi mężczyzn i kobiet, stęsknionych do ideału...."

Sądzićby można, że to zapamiętałe, wręcz fanatyczne ojcowskie miłowanie skłaniało się ku rozpieszczaniu chłopca, chowaniu go w puchu i w wacie. Nic podobnego. Nie byłby pan Władysław sobą, mężem lubującym się w niepohamowanej tężyźnie i w odde-

chu przestrzeni, podległej tylko wichrom, gdyby syna kierował na „papinka".

Jacek, ledwo podrósłszy z dzieciństwa, włazil ku najwyższej rozpaczy matki na wszystkie drzewa w parku, nurkował w stawie za pan brat z rybami (opowiadał rodzicom, że jest małym Malajczykiem, szukającym pereł w oceanie), a jeździł konno z prawdziwą, zaciekłą namiętnością. Żrebak nie źrebak, klacz folwarczna czy ojca wierzchowiec, wszystko było mu dobre, do czego tylko mógł się dorwać. Hasał i gonił, zziajany, zarumieniony, z rozwianemi nad czołem włosami (bo prawie zawsze gubił czapkę, to też zniechęcony przestał jej wnet używać), a gdy przez wieś przelatywał galopem, z poza opłotków goniły go z pod krasnych chust spojrzenia mołodyc modlitewnem uwielbieniem gorące. Nie obyło się bez tego, że zuchwały jeździec-chłopczyna spadł nieraz z konia i wracał do domu w potężnych guzach i siniakach, zamorusany i, pożal się Boże, w szpetnie pękniętych porteczkach. Ania łamała ręce, a pan Władysław cieszył się, jak król.

Drugą wielką namiętnością Jacka było rysowanie. Rysował ołówkiem, węglem na wszystkiem, co było pod ręką. Jako siedmioletni brzdąc, zamazał raz ściany swego białego dziecinnego pokoiku od góry do dołu najdziwaczniejszemi bohomazami (anioły z fryzurami jak patyki, konie podobne do świnek, potwory formy całkiem nieokreślonej) i twierdził, że „musiał te rzeczy narysować, bo tak mu się śniło". (Było zresztą potem wielkie skórobicie). Dostał jednak później nauczyciela rysunków, wykolejonego malarzynę z powiatowego miasteczka, potem i farby. W chłopięcym już wieku malował i „olejno" i „pastele". Przychodziły okresy, że do żadnej innej pracy zapędzić się nie dał, choć uczył się (w domu) szybko i dobrze. Ale zawsze po pewnym czasie darł, palił i we wszelki sposób niszczył swoje „dzieła", mówiąc lekceważąco, że „są do niczego".

Za to przez czas paromiesięcznego pobytu w Warszawie, po ucieczce z dawno już spalonego dworu, wysiadywał godzinami w sali starych mistrzów w „Zachęcie", zdążył poznać się z kilku młodymi malarzami, którzy przygarnęli go miło, nie szczędząc, coprawda, różnych ostrych złośliwości pod adresem „wioskowego burżuja", lecz na urodę „ślicznego smarkacza" patrzyli ze szczerym i czystym podziwem. Bywał uporczywym i cichym gościem w ich pracowniach, podpatrywał z szacunkiem i płomienną ciekawością wszystkie arkana ich kunsztu, czuł się pośród nich przepysznie, wesoły, uśmiechnięty, jakby nic a nic nie obchodziła go odmiana fortuny.

Rzekł mu ojciec pewnego dnia — kończyła się już zima, marcowe słońce wyzierało bladem światłem na szare ulice. —

— Słuchaj no, Jacek, jutro wyjeżdżamy...

— Na wieś? Więc tam do nas można już wrócić? — rozszerzyły się zdziwieniem wielkie oczy chłopaka. — Niema tam już tych drani? A przecież w gazetach...

Urwał. Harde rysy ojcowskiej twarzy drgnęły, jakby pociemniały na chwilę.

— Nie można wrócić. Dranie siedzą tam wciąż i Bóg wie kiedy z tamtych stron ustąpią. Oducz się już raz tego ciągłego przerywania.... nie dasz nigdy drugiemu dokończyć... Pojedziemy do Paryża....

— A tam po co? — krzyknął Jacek?

— Po co? Bo tak mi się podoba, rozumiesz? — ofuknął syna z nagłą złością.

Wielkiemi krokami zaczął przechadzać się po hotelowym pokoju, pełen pasji przeciw wszystkiemu i przeciw sobie. Ciężko mu było zdobyć się na to postanowienie wyjazdu z kraju, bo jednak... zawsze... jakaś, psiakrew, niby dezercja z posterunku... Ale był człowiekiem, który, gdy raz w decyzji, choćby najszaleńszej, się zatnie, pójdzie jej szlakiem już niezłomnie.

— „Czy on wie" — myślał, spoglądając ukradkiem na markotnego trochę Jacka — „czy on wie, ten mój synek, że wyjeżdżam stąd... do djabła, uciekam, tylko dla niego... Żeby mi nikt jednego włoska z tej czarnej czupryny nie uraził, żeby te przeczyste oczy nie patrzyły na ohydy, które tu dziać się mogą... Ze wschodu idzie pożoga, a przeciw niej tylko nieład i zamieszanie... Ziemię mi zabrali, dom zniszczyli do fundamentów, cała zamożność zeszła na dziady, niech mi przynajmniej to jedno zostanie nietknięte: mego syna młodość! Tak, tego skarbu nie narażę za nic! Nie wolno mi".

I już ze wzruszeniem obejmował wzrokiem postać chłopięcą, wspartą o framugę okna, profil zadumany, smukłą, jakby panieńską szyję i ten krawat „fantastycznie" zawiązany pod wyłożonym kołnierzem. (—„Za duży już na chodzenie w tych krótkich spodenkach i w pończochach, muszę mu na gwałt posprawiać „dorosłe" ubrania"—przemknęła mu się myśl czuła).

— Będziesz, Jacku, uczył się we Francji malarstwa i to porządnie, nie, jak dotychczas, piąte przez dziesiąte. Może coś z tego się wykluje, w każdym razie prędzej, niż u nas. I zbieraj się do pakowania, przejedziemy spory kawał świata...

Powiedz młodemu chłopcu, że przed nim podróż nieznana, daleka, a odrazu serce mu się rozpali ogniem złocistej uciechy. Śmiejące oczy Jacka były teraz jak szafir, oglądany pod blask wiosennego słońca.

— A co zrobimy z Alojzym?

— Cóż, trudno go tu zostawić, ostatnią resztkę Karzymowic. Pojedzie z nami ten stary fafuła...

— Karzymowice — zamyślił się Jacek. — Z dworu podobno ani śladu... A on jest...

— Jakto, jest?

— No, bo z nim taksamo, jak z mamusią. Niema ich tu, gdzie były, ale muszą być gdzieindziej. Bo przecież nigdy nie może zginąć to, co się już raz widziało.

Pan Karzymowski zbył te słowa milczeniem. Nie często lubiał zastanawiać się nad zaświatowemi sprawami. Czasem wyglądało z nich ku niemu ostrze czegoś wrogiego.

W Paryżu rozbili namioty u kuzyna Nikodema. Był to dość sobie zgryźliwy stary kawaler, który mieszkał w wykwintnym własnym pałacyku przy *Rue des Belles Feuilles* w okolicach *Avenue du Bois de Boulogne*, zamiłowany do dziwactwa w cackach i sprzęcikach, przepełniających zbytkowne pokoje, zawsze wyświeżony, jakby przed chwilą wyszedł od fryzjera, pachnący, błyszczący, w białych getrach, ze starannie zaczesaną łysiną. Ten typowy podstarzały paryski wytworniś przyjął z początku nader kwaśno przybyszów czy też uchodźców z zamierzchłej ojczyzny. Użalając się ozięble nad rozgromieniem Karzymowic, gdzie niegdyś, jako młodzieniec, przebywał, z miejsca roztoczył narzekania na niezmiernie ciężkie powojenne czasy, które go prawie zrujnowały, tak, że z przerażeniem patrzy w przyszłość, samotny, u progu starości. Rozpogodził się znacznie, gdy pan Władysław, uśmiechając się z nieukrywaną wzgardliwą ironją, oświadczył, że choć naturalnie bliski jest „dziadostwa", nie będzie nikomu ciężarem i pokazał, uratowaną przewidująco i szczęśliwie, sporą szkatułkę z rodzinnemi klejnotami (były tam perły i naszyjniki z brylantów jeszcze po prababkach, oraz tęgi trzos złotych imperjałów.

(D. c. n.)